

Lato małych chorych

Lato jest szafarzem zdrowia dla wszystkich. Powinno być szczególnie szczerym ofiarodawcą dla najbardziej potrzebujących: dla chorych. Głównie zaś, oczywiście, dla chorych dzieci.

Mamy ich niestety sporo, cierpiących na różnorodne, przewlekłe schorzenia, które wymagają kontroli, obserwacji i interwencji lekarskiej nie tylko podczas pobytu dziecka w szpitalu, sanatorium czy podczas krótkiej wizyty w poradni specjalistycznej. Dawno już przekonano się o tym, jak zbawienny wpływ na zdrowie i samopoczucie małych pacjentów ma ich kilkutygodniowy pobyt na kolonii letniej. Musi to być jednak kolonia o charakterze specjalnym. Musi mieć nie tylko wyjątkowo dobre warunki lokalowe, lecz także sprawniejszą i pełniejszą niż gdzie indziej opiekę lekarską i wychowawczą, a wreszcie większy fundusz żywieniowy. Dzienna stawka żywieniowa na kolonii zdrowotnej jest o połowę wyższa niż na normalnej. Często, dzięki zapobiegliwym staraniom organizatorów, nawet 2 razy wyższa. Zmniejszone są natomiast na takiej kolonii normy wychowawcze: z 25 i więcej podopiecznych do 15.

Komu kolonię?

Zorganizowanie dobrej kolonii zdrowotnej, która by w pełni odpowiadała nakładanym na nią obowiązkom, wymaga niemało trudu. Nic dziwnego, że nie ma zbyt wielu chętnych do urządzenia takiej formy leczenia i wypoczynku. Podczas gdy akcja kolonijna, obozowa, lata w mieście i małych form wczasy rozwija się u nas z roku na rok coraz piękniej, obejmując coraz większą liczbę najmłodszych wczasowiczów — liczba kolonii zdrowotnych jest od lat taka sama, od lat zbyt mała.

Jakie kolonie zdrowotne mieliśmy w tym roku na terenie Wielkopolski? Z pytaniem tym zwracamy się do dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Matki i Dziecka dr Reginy Wentzel, aczkolwiek — jak się później okaże w rozmowie — służba zdrowia sprawuje jedynie fachowy nadzór nad koloniami zdrowotnymi. Fundusze zabezpiecza resort oświaty, zaś organizatorem jest... Właśnie. Kto jest organizatorem? Kto powinien nim być? Obecnie wiadomo tylko tyle, że nikt się tego trudu podjąć nie chce. Przemasz: nikt, prócz Towarzystwa Przyjaciół Dzieci oraz nader nielicznych rad narodowych Poznania. Ale po kolei.

Mieliśmy zatem tego lata trzy kolonie dla dzieci cierpiących na reumatyzm, jedną cukrzycową, jedną dla dzieci kalekich, jedną dla dzieci z chorobami kręgosłupa oraz dwie dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Jedną spośród nich organizował PGR, po jednej DRN: Grunwald i Jeżyce. Wszystkie pozostałe przyjęło pod swe skrzydła Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Dobrze to, czy źle? Dobrze, bo organizacja ta, powołana przecież do sprawowania opieki i niesienia pomocy najmłodszym, czyni to wyjątkowo sprawnie, wkładając w tę pracę tyleż wysiłku, co i serca. Żle — bo czas oddany kolonom zdrowotnym, to czas odebrany stałym podopiecznym Towarzystwa. Np. dzieciom z tzw. trudnych środowisk, ale przecież nie tylko im, bo funkcje TPD są różnorodne.

TPD — Jedyny odważny...

Każdej wiosny, kiedy czas już nagli i kiedy najwyższa pora na podział ról — służba zdrowia i władze oświatowe stają przed tym samym problemem: komu „wcisnąć” kolonie zdrowotne? Kto się tego podejmie? I każdej wiosny, niezmiennie od lat, po planowym wycofaniu się różnych, bardzo zaawansowanych innych, ważnych problemami, sił (np. wielkich i bogatych zakładów pracy) na „placu boju” pozostaje TPD.

A przecież — jak w tym roku — oprócz kilku zdrowotnych, trzeba było urządzić i zabezpieczyć pozostałe młodzieżowe punkty wakacyjne TPD. A więc kolonie dla dzieci społecznie nie przystosowanych oraz inna — dla dzieci z rodzin alkoholików, kolonie szkoleniowa — dla przedstawicieli samorządów podwórkowych. 2 kolonie normalne, 4 obozy stałe i 2 wędrownie, 16 półkolonii 26 punktów wczasy w mieście, 184 dziecińce wiejskie oraz cała akcja tzw. małych form wczasów z których skorzystało 17 400 dzieci. W sumie dzięki zapobiegliwości TPD, z uroków lata skorzystało 27 tysięcy dzieci a środki wydane na udostępnienie im tych uroków, wyniosły w tym roku 2 miliony 700 tysięcy złotych. Wszystkie te dane, aczkolwiek nie związane bezpośrednio ze sprawą kolonii zdrowotnych, przytaczamy

tu po to, by uświadomić zainteresowanym, jak wielki zakres letnich obowiązków wobec dzieci biera na swe barki działaczka jednej organizacji. Tej właśnie, która i przed organizowaniem trudnych kolonii zdrowotnych się nie wzbrania. Wzbraniają się natomiast — mimo długoletnich przekonywań i prób — duże i zasobne w dobrze zagospodarowane punkty kolonijne — poznańskie i wielkopolskie zakłady pracy. A przecież zapewne dzie ci ich pracowników są również wśród tych, które oczekują wyjazdu na kolonie zdrowotne.

Wzywamy sojuszników

Oczekują zaś niekiedy na próżno. Wiele jeszcze bowiem schorzeń letnich, wymagających również letniego, rehabilitacyjnego, nieodzownego dla organizmu, odpoczynku pod kontrolą lekarza — pozostaje poza nawiasem akcji kolonii zdrowotnych. Nasi lekarze — pediatrzy od wielu lat wskazują np. na konieczność bacznego zwrócenia uwagi na dzieci z niedoborem wzrostu i wagi. Takich dzieci wiele znaleźć można w środowiskach małych miasteczek. Dzieci, spędzających upalne, letnie dni na zakurzonych uliczkach — drogach, nad wypełnionymi brudną wodą stawami, w wilgotnych, ciemnych bramach ponurych kamieniczek. Niektóre województwa organizują też np. wczasy dla krótkowzroszczów. Podobno bardzo pożyteczne, bardzo popularne. Za mało u nas ciągle kolonii przeciwreumatycznych, a dzieci cierpiących na tę dolegliwość jest wiele. Bardzo dobrze działa nasze sanatorium w Osiecznej, ale przyjmuje ono przede wszystkim małych pacjentów opuszczających szpital.

Innych problemów nastercza kolonia cukrzycowa. Dzieci z tego typu schorzeniami mamy wprawdzie niewiele, ale ich liczba wzrasta. Co gorsze — są to dzieci przeważnie opóźnione w nauce, a zatem wiek ewentualnych uczestników kolonii zdrowotnej tego typu waha się od 7 do 17 lat, co oczywiście nastercza kolosalnych i właściwie nie dających się pokonać na terenie jednej placówki — trudności wychowawczych.

Problem ten można by rozwiązać przez nawiązanie np. międzywojewódzkich umów, polegających na organizowaniu różnych typów kolonii zdrowotnych, dla dzieci w różnym wieku — w kilku regionach kraju. Można by też np. grupę starszych dzieci (a właściwie już młodzieży) „cukrzycowych”, którym program kolonijnych zajęć nie może odpowiadać i wypełniać czasu — dołączyć do normalnych kolonii lub obozów. Ale to już wymaga porozumienia ze służbą zdrowia ze strony liczniejszych niż dotąd organizacji społecznych, instytucji, zakładów pracy.

Gazeta Tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 407 17 VIII 1969 Rok IX

W ostatnich dniach otrzymaliśmy dwie wiadomości ze Związku Radzieckiego. Obydwie odnoszą się do oświaty — i co tu dużo mówić — obydwie są niezwykle optymistyczne.

Jak bowiem poinformował Radziecki Urząd Statystyczny, w roku 1968/69 kształciło się tam ponad 77 milionów osób. W szkołach średnich — 49 milionów, w wyższych uczelniach — 4,5 mln, reszta zaś obywateli uczy się w szkołach specjalistycznych, zawodowych i technicznych.

Niemal tego samego dnia „Literaturna Gazeta”, pismo o sporym autorytecie społecznym, drukuje artykuł G. Kulogina, generalnego dyrektora Leningradzkiego Zjednoczenia Budowy Obrabiarek im. Swierdłowa, który — poddając krytyce ten oświaty rys twierdzi, że w przemyśle wytworzyły się niepomysłne proporcje między liczbą niewykwalifikowanych robotników a liczbą inżynierów i techników. G. Kulogin nie jest gotosłowny. Za podstawę swych uogólnień wziął analizę stanu kadr w swoim zjednoczeniu na tle stanu w aglomeracji leningradzkiej. W najgorszym wypadku G. Kulogin postuluje przynajmniej chwilę zbiorowej refleksji.

Warto i z polskiego punktu widzenia, zatrzymać się chwilę nad artykułem G. Kulogina w związku z komunikatem Radzieckiego Urzędu Statystycznego.

Ustala się powszechną maturę

Polska, zajmująca poczesne miejsce wśród krajów rozwiniętych, nie należy do tych krajów, które oświatę zapisują po stronie „spraw załatwionych”. Nikt też nigdy nie twierdził nawet gdy nasze społeczeństwo było zaabsorbowane realizacją programu 8-letniej szkoły podstawowej, że na tym koniec. Dał temu wyraz V Zjazd partii, a potem V Kongres ZSL i IX Kongres SD. W związku z tym wielu publicystów oświatowych, jeszcze nieśmiało, rozpoczęła penetrację przedpola, na którym do roku 1975 mamy zapewnić dostęp do szkół średnich 90 proc. absolwentom obecnej ośmiolatk. Zatem de facto — najbliższy kierunek działania: powszechna szkoła średnia.

Nie będzie to program najłatwiejszy. Ale będzie to program niezwykle ambitny, któremu nie może nie



„Można założyć, że w przyszłości na stanowiskach wymagających obecnie wykształcenia podstawowego będą pracować ludzie z dyplomami szkół wyższych”...

Fot. — Archiwum

Jerzy Kochański

Jacek Kuźmin

Palące pytania oświatowe

towarzyszyć narodowa modernizacja. Tymczasem nie mniejsze zadania — jak to zresztą wynika z danych ogłoszonych 11. 4. 1967 r. przez ówczesne Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego na konferencji prasowej — stoją przed oświatą dla dorosłych. Właściwa uchwała Rady Ministrów ustala, że należy podjąć wysiłki w zakresie pełnego upowszechnienia szkoły podstawowej wśród pracujących. Mówi się tam nawet o obo-

wodowej podejmowali pracę w okresie planu 6-letniego lub nieco później”.

Autorzy tegoż artykułu („Przemiany struktury społecznej”) — B. Gołębowski i W. Wesółowski piszą:

„Z zebranego materiału wynika, że w badanych gałęziach (przemysł, budownictwo — dop. mój aut.), 18,9 proc. ogółu stanowią robotnicy wysoko wykwalifikowani, 30,2 proc. robotnicy wykwalifikowani, 34,5 proc. robotnicy przyuczeni i 16,4 proc. robotnicy niewykwalifikowani”.

Autorzy oceniają, że jest to „niezła struktura”. Jednakowoż wskazują „na dość łagodne” u nas kryteria zaliczania pracowników do grupy „robotników wykwalifikowanych”, by zrekapitulować ten fragment rozważań stwierdzeniem kategorycznym:

„Jedno jest pewne, nie ma dziś na stanowiskach pracy osób nie przygotowanych do zadowalającego lub na wet dobrego wypełniania swych obowiązków”.

Przyjmując te fakty do wiadomości nie należy też zapominać, że problem „przygotowania — i — nie przygotowania” nie wyczerpuje złożonych zadań stojących przed robotnikami. Pewnie, że przygotowanie do wykonywanego zawodu stanowi o obliczu każdego robotnika i klasy robotniczej jako twórcy obrazu społeczeństwa. Nas jednak zawsze obowiązuje perspektywa, a w perspektywie — zgodnie z decyzjami partii — czeka nas rozwój gospodarki są-

Dokończenie na str. 2

Michał Białokoz

Wspomnienia lekarza z Powstania (4)

Natychmiast po kapitulacji część żołnierzy AK wraz ze sztabem udała się do niewoli, z wyjątkiem kilku jednostek AK, pozostawionych zgodnie z umową, dla zapewnienia ładu i bezpieczeństwa na terenie Warszawy.

4 października 1944 r. zakończyło się masowe wyjście mieszkańców miasta.

Pozostały placówki służby zdrowia wraz z chorymi, rannymi i personelem oraz znajdujący się w poszczególnych domach ludzie, niezgodni do marszu: chorzy, starcy, kałki.

Domy opustoszały. Szpitale poszerzyły znacznie swoją powierzchnię. Wielu żołnierzy nie ujawniło się i pozostało w szpitalach, lub przyszło do szpitali jako chorzy.

Wystawialiśmy im legitymacje PCK dla zapewnienia bezpieczeństwa. Tymczasem Polscy Czerwony

Krzyż przeprowadził rokowania z władzami niemieckimi dotyczące ewakuacji szpitali i punktów sanitarnych PCK (wszystkie już nosiły tę nazwę), wraz z chorymi, rannymi i personelem oraz wszystkimi mieszkańcami, którzy wymagali opieki szpitalnej.

Nastąpiło porozumienie, na zasadzie którego Niemcy zobowiązali się do dostarczenia środków ewakuacyjnych: 1500 chorych i rannych oraz część personelu — do szpitala, który zorganizowali w Piastowie i który pozostanie pod opieką PCK; cięższych rannych i chorych, resztę personelu i sprzętu — do Krakowa, gdzie przydzielą budynki odpowiadające wymaganiom. Również szpitale w Krakowie zgodnie z porozumieniem miały pozostawać pod opieką PCK.

Transport do Piastowa miał się odbyć samochodami, do Krakowa — szpitale, rannych, chorych, personel i sprzęt sanitarny — miały przewieźć dwa pociągi sanitarne.

Na moje zarządzenie wszystkie szpitale dostały przydziały rejonów działalności i zgodnie z zarządzeniem, zaczęły gromadzić u siebie — z domów swojego rejonu — chorych, starców, kaleki i ludzi zniechęconych. Po mieście zaczęły chodzić patrole, składające się z lekarza, pielęgniarzy i noszowych z noszami. Patrole przeszukiwały domy od strychu do piwnicy, tak drobniagowo aby nie ominąć żadnego mieszkańca i prowadzić lub nosić wykrytych ludzi do szpitali. Tu niepodobna prze-

biagowej pracy tych zespołów. Wykrywały nieraz już chyba stuletnich starców i staruszki — osoby upośledzone umysłowo, względnie chorych, którzy z takich, czy innych powodów nie trafili do szpitala, wreszcie Żydów ukrywających się po piwnicach, nie zorientowanych w sytuacji.

Sporo ludzi zgłaszało się samorzutnie, przynosząc swój niewielki dobytek i żywność, którą jeszcze posiadali i którą ofiarowywali do wspólnego użytku szpitalowi. Szpital żywił wszystkich zgromadzonych. Trzeba było założyć kilka kuchni. Sytuacja żywieniowa szpitala po kapitulacji uległa bardzo wyraźnej poprawie. Ludzie, odchodzący z Warszawy sprzedawali lub ofiarowywali szpitalom posiadane zapasy żywności a były one, jak się okazało, niemałe.

W dniach masowej ewakuacji na terenie dzielnic pełno było punktów handlu pod gołym niebem. Złaziska ul. Krucza była ośrodkiem transakcji. Teraz dopiero okazało się ile i jakie zapasy żywności zgromadzili, jedni, podczas gdy inni cierpieli głód. Oczywiście spekulanci mieli duże pole do popisu. Ludność była oszołomiona i zgnębiona. Wyzuta z dachu nad głową i mieszkaniem, skłaniała się w wytyczonych kierunkach do obozów przejściowych. Sprzedawała co miała i kupowała co mogła.

4. X. 1944 r. rano odmeldował się w naszym szpitalu przy ul. Żura-

Dokończenie na str. 2

Dr Michał Białokoz, lekarz medycyny z Poznania uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku jako obrońca Warszawy. Od wybuchu Powstania Warszawskiego, to znaczy od 1 sierpnia 1944 roku, był komendantem szpitala przeciwgruźliczego przy ul. Żurawiej 31 i komendantem punktu opatrunkowego przy ul. Wilczej 29a. Po upadku Powstania został szefem ewakuacji szpitali warszawskich.

Dzisiaj drukujemy czwarty fragment wspomnień dr. M. Białokoz.

Sądzimy, że zainteresują one naszych Czytelników bowiem dotyczą mało znanych szczegółów Powstania, faktów oglądanych oczyma lekarza. Następnym fragmentem za tydzień.

„Patrole te przeszukiwały domy od strychu do piwnicy, tak drobniagowo aby nie ominąć żadnego mieszkańca i prowadzić lub nosić wykrytych ludzi do szpitala”...

Fot. — Archiwum



Kolumbowie w kraju nad Wisłą

Odkrywanie własnego kraju nie należy do zajęć zbyt wdzięcznych. Co innego widać zagranicę, egzotyka; chociażby wypad do sąsiedów najbliższych. Między Bałtykiem i Karpatai nie ciekawego nie odkryjesz. Tak przynajmniej sądzi wielu moich rodaków. Inne natomiast jest na ogół mniemanie przybyszów spoza naszych rubieży. Nie zawsze są oni naszymi przyjaciółmi. Nie wszystkim się zachwycają, w wielu jednak dziedzinach naszego życia społecznego odkrywają wręcz rewelacje. Uprzytomnia nam przy tym prawdy, do których tak już przywykliśmy, że nie zwracamy na nie żadnej uwagi.

Okres letniego napływu turystów obcych sprzyja owym spotkaniom z „Kolumbami” naszego kraju. Miałem takich spotkań wcale niemało w klubach międzynarodowej prasy i książki „Ruch”. Dlaczego akurat tutaj? Zwyczajnie — poszukują w na-

szych „empikach” swojej prasy, tutaj nabywają książki i albumy, płyty i pocztówki, a przy okazji przechodzą na doskonałą i taną kawę, oraz oglądają wystawy. Nadziwić się przy tym nie mogą i... przy okazji odkrywają „fenomeny polskiej kultury”. Otóż to.

Onegdaj grupa turystów z Italii, włoskich nauczycieli, entuzjastycznie walczyła się z faktem, że w czytelnym „empiku” znajduje się blisko pół setki

Letnie spotkania w „empikach”

gazet i czasopism z całego świata i, że wszystko to można czytać za darmo. Tego we Włoszech nie ma. Gazetę można kupić, ale nikt nie umożliwi czytelnictwa bezpłatnie. A tu jeszcze do tego drogie obcojęzyczne, importowane tytuły.

Zdumienie przybyszów wywołują ceny naszych książek. Nie mówiąc już o tym, że również książki importowane są zdumiewająco tanie; przynajmniej jak na stosunki zachodnie. To właśnie od moich rozmówców dowiedziałem się, że średnia cena książki równa jest we Włoszech kosztowi dziennego utrzymania czteroosobowej rodziny. To też robotnicy i niżej uposażeni pracownicy umysłowi nie kupują książek lub czynią to wyjątkowo rzadko. A jeszcze gorzej jest na wsł.

Raz jeszcze zamysliłem sobie jak mądra jest nasza polityka kulturalna. A przecież jednocześnie ma my gęstą sieć bibliotek. Zbiory biblioteczne istnieją na całym świecie i wszędzie się wynożyca książki. Różnica jednak polega na tym, że w niewielu krajach wypożycza się je za darmo. Uważasz dobrą kulturę, o których w ostatnim okre-

sie sporo się mówiło i pisało z okazji srebrnego jubileuszu Polski Ludowej, nabiera szczególnej wymowy, kiedy uzmystowimy sobie, że wiele bogatych państw „nie stać” na bezpłatne wypożyczanie książek. A przecież w jednym tylko roku 1963 nasze biblioteki publiczne wypożyczyły 111.143.000 książek, nie licząc od czytelników ani jednej złotówki. Dodajmy do tego 107 mln. wypożyczeń z bibliotek szkolnych. Bezpłatnie wypożycza się również książki w bibliotekach związków zawodowych, w księżnicach naukowych itp. Wymowę tych liczb uzmąglamy sobie szczególnie dobitnie wówczas, kiedy słyszymy ile się płaci gdzie indziej za wypożyczenie książki i jakie żałosne skutki przynosi skomercjalizowana polityka kulturalna.

Gdziekolwiek bądź byłem poza granicami kraju, wszędzie mówiono z uznaniem o wysokim poziomie repertuaru naszych kin i teatrów. Uważano za rewelacyjnie niskie ceny wstępu do kina, na koncerty, do teatru. Zdumiewano się, gdy informowałem o symbolicznych opłatach wstępu do muzeów i na wystawy dzieł sztuki. Na Zachodzie kosztuje to wszystko bardzo dużo, a słone ceny biletów często uniemożliwiają ludziom pracy dostęp do dóbr kultury.

Przynajmniej nie zawsze chciano mi wierzyć. Toteż z ogromną satysfakcją towarzyszę „Kolumbom”, odkrywającym mój kraj i prawdę o jego życiu kulturalnym. Przeżywaną radość ogromną gdy stwierdzają oni powszechność dostępu do teatrów, filharmonii, galerii i muzeów, gdy wpadają w osłupienie na widok naszej opieki nad zabytkami przeszłości, gdy stwierdzają autentyczność ruchu kulturalnego w wielorakich stwarzyszeniach, zespołach amatorskich, kołach i klubach zainteresowań.

Przybyszący do naszego kraju mają możliwość przekonać się jak głębokie i wielostronne są zainteresowania Polaków i jak bogate możliwości zaspokajania tych zainteresowań. Oczywiście staje się wówczas bezsensowność zarzutów wrogiej nam propagandy, twierdzącej, jakobyśmy tkwili „za żelazną kurtyną” z dala od tego co się dzieje we współczesnym świecie.

Ale czy wszyscy wykorzystujemy daną nam szansę?

Pałace pytania

Dokończenie ze str. 1

lektywnej (to w dziale polityki społecznej) i wprowadzenie półautomatyzacji oraz pełnej automatyzacji. Robotnik nie tylko staje się zarządcą technicznych organizmów, ale w skali swego przedsiębiorstwa umacnia się jego pozycja jako gospodarza, jako twórcy perspektywy własnego gospodarstwa. Dopiero w tym kontekście można i trzeba rozważać problem kwalifikacji robotnika, i dopiero w tym kontekście trzeba zabierać się za sformułowanie programu oświaty pracowniczej, czyli jak to się zwykło mawiać, oświaty dla dorosłych. Toteż wspomniani autorzy piszą:

„Wyższy poziom techniki wymaga wyższych sprawności intelektualnych, treningu w rozwiązywaniu różnorodnych i niestandardowych zadań oraz umiejętności szybkiego podejmowania decyzji” (w procesie pracy).

I chyba nie trzeba być futurologiem — amatorem, by sobie wyobrazić rolę jaką przypadnie robotnikowi w życiu gospodarczym i społecznym. A w związku z tym trzeba być realistą, by sobie wyobrazić, że kryteria stosowane wobec kwalifikacji robotnika będą się coraz bardziej zaostrzać. I chyba przyszła chwila właściwa by ogłosić, że oto mija bezpowrotnie dzień, który tylko pracowników twórczych zobowiązywał do stałego studiowania, uzupełniania wiedzy o pokrewne dyscypliny. Mija też dzień, który ograniczał swe wymagania do stałego upychania bagażu doświadczeń zawodowych i życiowych, przekształcający się dość często w rutynę i skostnienie. To już nie te czasy, te czasy otrzymują szybki wymiar wspomnień.

Nas — w Polsce — oczekuje w skali masowej półautomatyzacja. Automatyzację — eksperymentalnie — można oglądać w kopalni „Jan”. Człowieka w tym świecie, w świecie masowej automatyzacji, ogląda już prof. Victor Broida, Francuz, prezydent Międzynarodowej Federacji Automatyki i Kontroli (IFAC), który w wywiadzie dla „Polityki” po-

wiada, że „przy automatyzacji procesów produkcyjnych głównym problemem jest przekwalifikowanie ludzi (...) Można założyć, że w przyszłości na stanowiskach wymagających obecnie wykształcenia podstawowego będą pracować ludzie z dyplomami szkół wyższych”.

Profesor dodaje: „Najbardziej bowiem złożona maszyna jest tylko na rękę człowieka”.

Pamiętajmy i niezapominajmy

Nie będziemy odpowiadać na pytanie — jak należy zaprogramować oświatę dla tego dnia, który otworzy epokę pełnej automatyzacji? Nie o to tu bowiem idzie. Ale ta perspektywa, co raz bardziej realna w naszym kraju, a po drodze do niej zmieniająca coraz bardziej nasze życie zawodowe, upoważnia do postawienia pytania o program systemu oświaty dla dorosłych. Czy ma to być kontynuacja tych wszystkich rozproszonych przedsięwzięć jakie stosowane są dziś czy też ma to być system jednolity i podporządkowany nadrzeczemu perspektywicznemu celowi? Pamiętajmy, że dziś mogą się wszyscy pracujący dokształcać, ale pamiętajmy też jak różne są te formy dokształcania, jak różny — wreszcie — jest stosunek zakładów pracy. Nie zapominajmy, że wiele zakładów popiera podnoszenie kwalifikacji o ile tego wymaga sprawozdanie lub transparent.

Pięknie brzmią słowa francuskiego profesora o zastępowaniu wykształcenia podstawowego, wykształceniem wyższym, który nie chciał doczekać tej chwili. Bardziej życiowo brzmi głos G. Kulagina, który — mimo iż reprezentuje przemysł nowoczesny — upomina się o zmianę proporcji na korzyść wysoko kwalifikowanych robotników. Czy u nas nie jesteśmy w podobnej sytuacji, choć inżynierów również brakuje...? Oto właśnie to bardzo pałace pytanie.

JERZY KOCHAŃSKI
JACEK KUŹMIN

Praprawnuczka Moniuszki o listach twórcy Halki

„Listy Moniuszki” — tak brzmi tytuł nowej, interesującej książki Witolda Rudzińskiego.

Jest to książka — powiedziała praprawnuczka twórcy „Halki” — Danuta Janowska z Moniuszków, która rzuca wiele nowego światła na postać tego wielkiego kompozytora polskiego. Moniuszko jawi się w niej bynajmniej nie jako nieśmiały „prowiniejsz”, lecz człowiek pełen energii, żywo interesujący się sprawami i problemami współczesnego życia politycznego, społecznego i artystycznego. Szczególnie interesujące są, zwłaszcza dla mnie, listy — i dokumenty dotyczące życia rodzinnego Moniuszki, stosunku żony do twórczości autora „Strasznego dworu” itp. Wydaje się, iż stosunek ten — podobnie zresztą jak i samego kompozytora do jego własnej twórczości — był pozbawiony jakiegos specjalnego „kultu”. Jest to wszystko zresztą zgodne z tym, co wiedziałem z ustnych przekazów rodzinnych.

Danuta Janowska z Moniuszków — jedna z nielicznych, żyjących potomków tego rodu — została ostatnio zaproszona przez organizatorów na Festiwal Moniuszkowski w Kudowie. Festiwal, którym uczczono 150 rocznicę urodzin Stanisława Moniuszki — mówi — był dla mnie prawdziwym przeżyciem. Nie tylko dlatego, iż brałam w nim udział jako gość honorowy, ale i dlatego, że mogłam się przekonać, że utwory mego prapradziada są stale żywe i cieszą się niemałą popularnością, zarówno wśród melomanów, jak i najmłodszych słuchaczy. (PAP)

Wspomnienia lekarza z Powstania

Dokończenie ze str. 1

wień 31 uzbrojony oddział AK, pozostawiony jako ostatni — dla ochrony ludności. Dowódca oświadczył, że ewakuacja ludności jest zakończona i że on ze swoim oddziałem, w myśl warunków kapitulacji, idą do niewoli.

Zostaliśmy w mieście sami, zdani jedynie na siebie.

Bywają w historii momenty, kiedy olbrzymie miasto staje się bezpańskie, w mniej lub więcej ścisłym tego słowa znaczeniu. Po kapitulacji Powstania, Warszawa była bezpańska. Niemcy nie czuli się pewni w mieście, mimo że je systematycznie palili, rabowali i niszczyli.

Zaznaczał się już brak zwykłej systematycznej konsekwencji niemieckiej. Widziałem jak żołnierze Wehrmachtu rąbał toporem wyciągnięty spod chodnika kabel telefoniczny, czy elektryczny na ul. Marszałkowskiej, przecinając go na dro-

bną kawałki długości około 20 cm. Był jednak sam i w tym dziele zniszczenia nikt mu nie towarzyszył.

Warszawa paliła się. Podpalane wyrzutowo od spodu domy płonęły w ciągu kilku godzin tak, że zostawało po nich zwałisko dymiącego gruzu. W innych wypadkach podpalano budynki od strychu i wtedy paliło się wolno, nieraz kilka dni. Od strony Placu Trzech Krzyży od jednego z podpalonych domów — zresztą pustego — posuwał się powoli pożar w kierunku naszego Centrum Szpitalnego przy ul. Żurawiej 31. Zastanawialiśmy się, czy zdążymy dokonać ewakuacji nim pożar dojdzie do nas — czy nie.

Na nas Niemcy nie zwracali właściwie żadnej uwagi. Umowę, dotyczącą ewakuacji szpitali, chorych, rannych i personelu, wykonywali sumiennie, ale co my robimy, co się dzieje u nas, nie obchodziło ich wcale. Czasem jedynie zdarzały się przy padkowe incydenty.

Któregoś dnia usłyszałem podniesione głosy na pierwszym piętrze szpitala przy ul. Żurawiej 31. Wszedłszy do przedpokoju zastałem awanturowanego się esesmanna z kilkoma osobami ze szpitala. Mówił po polsku — „Czego pan sobie życzy?” — zapytałem (rozmowę cytuję dosłownie). — „Tu u was — odwrócił się — schowała się pielęgniarka, która nam jest potrzebna do zrobienia opatrunku”. — Niosło od niego wódkę. — Wydało mi się, że chciał porwać dziewczynę dla swawoli. Nie wiedziałem zresztą, o którą chodziło. — „Nie ma jej tu” — powiedziałem stanowczo. — „Jeżeli za pięć minut się nie znajdzie — wrzasał przystawiając mi do skroni łufę pistoletu — zastrzelę pana!” — „Niech pan od razu strzela — odparłem spokojnie — bo pielęgniarka nie znajdzie się ani za pięć minut, ani za godzinę, ani w ogóle. Jak pan śmie grozić dyrektorowi szpitala?” — Gęsta powieć się zmieszała. — „No — po-

wiedział jowialnie, chowając pistolet — Ja tylko żartowałem”.

Dopiero dziś, po latach, zdaje mi się sprawę z tego, że nie tylko moja stanowcza postawa wpłynęła na jego uspokojenie, ale fakt, że przecież znajdował się sam w ciasnym przedpokoju, wśród wielu ludzi naradzających na obezwładnienie i zabicie, gdyby wykonał swoją groźbę. Nie by mu nie pomogło to, że był uzbrojony. Jeden chwyt za rękę i jeden równoczesny chwyt za szyję wystarczyłyby do obezwładnienia go i zabicia, nawet jego własną bronią. Na strzał z pistoletu w głębi mieszkania, od strony podwórza, nikt z oddalonych wówczas niemieckich wojskowych nie zwróciłby na pewno uwagi, choć by dlatego, że byłby go wcale nie usłyszał. Gestapowski chuligan, a właściwie głęboko ukryty, a w nocy pogrzebany. Jestem przekonany, że nikt z Niemców nie zadalby sobie trudu poszukiwania tego „szeregowca”. Przypadłby w wyludnionej Warszawie tak, jak przypadł Francuzi w płonącej w 1812 roku Moskwie.

MICHAŁ BIAŁOKOZ

Przeglądamy Prasę

POLAK WYPOCZYWA

W cyklu „Kultura” pt. „Żywiot człowieka poczytawego i niepoczytawego w PRL” Jan Paweł Gawlik pisze na temat wypoczynku, jego organizacji i niedostatku w tej dziedzinie. Zaczyna od tego, że już po wyjściu z pracy czyhają na człowieka niedostateczna komunikacja i wadliwa organizacja handlu, czyniące dojazd do pracy nie tylko kwestią czasu, ale również znacznego wysiłku, zmniejszającego nakład energii potrzebny do wykonywania zawodu. A kiedy już nadchodzi czas na wypocinek, to okazuje się, że poza miejscowościami tzw. modnymi, materialna baza wypoczynku i ruchu turystycznego jest niedoręczona. Autor skierowuje uwagę przede wszystkim na zamknięte zakładowe ośrodki wypoczynku.

„Ta, niestety, bardzo popularna forma wypoczynku jest wynikiem — pisze — żywiołowego i dzikiego budownictwa czasowego, nie tylko nie realizującego zasad racjonalnej gospodarki terenami rekrea-

cyjnymi, ale często-gęsto stanowiącego ich zaprzeczenie. Na 160 km wybrzeża ko szalińskim działu np... 1000 „inwestorów” branży wypoczynkowej, a w takim np. Międzyzdrojach zabudowywano inwestycjami „zakładowej turystyki” miejsce liczącym w sezonie ca 25 000 ludzi, nie mając ujęcia wody pitnej — za to 20 beczkowozów z podzielonego taką gospodarką lasu wywozi codziennie fekalia z wiadomym skutkiem dla higieny i jakości powietrza w okolicy”.

Przy tym roczne wykorzystanie takich obiektów kształtuje się grubo poniżej możliwości, bo ośrodki zakładowe zamknięte przed tymi, co nie są pracownikami ich zakładów.

Jakie jest więc wyjście?

„Istnieje — pisze Gawlik — zasadnicza różnica między wykorzystaniem, trwałością i komfortem murowanego i odpowiednio projektowanego budownictwa turystycznego, jak hotele, pensjonaty, domy wypoczynkowe, a ta żywiołowa budownictwa mierzwa, która dużo kosztuje a mało daje. Różnica tak wielka w stylu i jakości usług, że wnioski same się nasuwają.

Jesteśmy zbyt biedni, by pozwalać sobie na tanią tandetę (o wiele rozsądniejszą wydają się już dobrze zagospodarowane campingi i pola namiotowe budowane jednak nie „fasadowo”, ale „kompleksowo”: wraz z ustępami, łazienkami, natryskami itp. tak jak buduje się na całym świecie, dbając potem o czystość i funkcjonowanie tych urządzeń). Mając dostateczną ilość takich sezonowych miejsc campingowania, cały poważniej-

szy wysiłek inwestycyjny należałoby obrócić na budownictwo trwałe i ekonomiczne, pozwalające na bardziej przewidywalną gospodarkę i lepsze wykorzystanie bazy. Aby to jednak osiągnąć, by otworzyć równocześnie przed wszystkimi sezonowymi zakładami domów i obiektów wypoczynkowych należy turystykę polską wydobyć z dotychczasowej żywiołowości, a radosną improwizację zastąpić pozytywną koncepcją rozwojową całości”.

ŻYJEMY O 20 LAT DŁUŻEJ

O stanie lecznictwa i opieki społecznej osiągniętych w ćwierćwieczu Polski Ludowej mówi w wywiadzie dla „Tygodnika Demokratycznego” wiceminister zdrowia i opieki społecznej doc. dr Jan Rutkiewicz:

„Rozbudowa służby zdrowia — stwierdza wiceminister — jej powszechność, bezpłatność dla ludności ubezpieczonej oraz częściowo na wsł, dostępność, większe zainteresowanie opieką społeczną nie mogły nie przynieść rezultatów. Polska jest krajem o najniższej śmiertelności w Europie. Liczba zgonów na 1000 mieszkańców zmniejszyła się z 13,9 w r. 1938 do 7,8 w r. 1967. Umieralność niemowląt spadła ze 140 do 33,2 na 1000 urodzin żywych. Żyjemy dziś o 20 lat dłużej niż w latach międzywojennych. Wyszliśmy się pod tym względem przed takie kraje jak: Austria, Włochy, Jugosławia, Węgry, Finlandia, Irlandia, nie mówiąc o Grecji,

Hiszpanii czy Portugalii. O ile przed wojną przeciętny okres życia wynosił niecałe 50 lat, o tyle w ubiegłym roku prawie — 70 lat”.

SUSZA

Tegoroczna susza, ze względu na swoje rozmiary, porównywana jest z latami klęski: 1827, 1884, a nawet 1921. Trudno obecnie przesądzić, jakie będą rozmiary szkód, nią spowodowanych, pewne jednak jest, że susza wpłynie na rozmiary hodowli, a to w wyniku niższego urodzaju ziemniaków.

Piszący na ten temat w „Życiu Gospodarczym” Jerzy Kucharz zapatrjuje się optymistycznie na możliwości zniewolenia takich skutków suszy. Rzecz dotyczy jednak przyszłości.

„Od niepamiętnych czasów po dzień dzisiejszy — pisze autor — znany jest sposób gospodarki wodą przez jej magazynowanie na okresy niekorzystne pod względem jej zasobu. Pomijam w tym wypadku znaczenie i rolę dużych zbiorników retencyjnych. Natomiast pragnę zwrócić uwagę na fakt wykorzystywania dla tych celów naturalnych zbiorników, jezior, stawów, miejsc depresyjnych w stosunku do pozostałych pól, kanałów itp., skąd przy wykorzystaniu, dawniej tylko energii wiatru, a dzisiaj również i silników spalinowych i elektrycznych, zmagazynowaną wodę zwraca się na pola uprawne w okresie pożądany.

W ten zgola prosty, acz nieco kosztowniejszy i bardziej skomplikowany sposób jesteśmy w stanie zapewnić optymalne warunki wilgotnościowe w ciągu całego okresu wegetacyjnego. Gdy jednak przeprowadzimy prosty rachunek strat poniesionych przez rolnictwo i uzależnienie jego produktywności od kaprysów aury, a należy przypomnieć, że okresy suszy występują regularnie co trzy lata, dodatkowe koszty związane z magazynowaniem i technicznym rozwiązaniem obiegu wody, stanowiąc będą znikomą procent w kosztach ogólnospołecznych powstałych w wyniku obniżenia produktywności rolnictwa”.

„Współczesność” przynosi relację Zdzisława Kowalczyka zatytułowaną „Trzeba pójść do ministra”, w której autor przedstawia spór dwóch braci o gospodarstwo rolne w Kotwasiach w powiecie Turek, spór zakończony kilkoma różnymi wyrokami sądów. Autor zwraca uwagę na rolę sądownictwa w rozwiązywaniu sporów między rolnikami. W tej sprawie: w wyniku zaś stanowiska tego ostatniego z gospodarstwa usunięty został człowiek, który nie ma teraz gdzie (ze względu na wiek i stan zdrowia) podjąć pracy.

„Walka Młodych” piórem Marseny Bauman w artykule „Pieszczoły” upomina się o respektowanie praw racjonalizatorów produkcji do ich opatentowanych wynalazków. „Życie Literackie” kończy druk fragmentów rozszerzonego wydania „Potyczek poselskich” Władysława Machajki z lat 1944-46, które ukaza się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

LEKTOR